



959



20

Kazimierzowi Protrowskiemu

na pamiątkę dni razem o gorzkie
: gorzkie, wdoli i uwadoli prężytych

stanów ten

ofiaruje

Autory

Dane w Krakowie w Drukarni i Księgarni
w dniu św. Szymona t. j. 4. kwietnia roku
pańskiego 1903. —

JÓZEF RĄCZKOWSKI

W BLASKACH MŁODOŚCI

POEZYJE

I.

Z WINIETĄ STAN. WYSPIAŃSKIEGO

KRAKÓW — MCMIII.
G. GEBETHNER I SPÓŁKA.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-000 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

<http://rcin.org.pl>



MŁODZIEŃCZE SNY

TĘSKNOTA.

K. Piotrowskiemu.

Mroczną jeziora senną ciszą,
Mając strudzone płaczem fale,
Odziana białą suknią mniszą
Przychodzi siać mi w duszę żale —
Tęsknota.

Smętkiem owiana, w gwiazd koronie,
Płynie czarowna dziwną mocą
Ponad dzwoniące ciszą tonie,
Co się księżycą światłem złocą —
Tęsknota.

Wyciąga dłonie swe pieściwe,
Jak gdyby objąć chciała ziemię,
Przytulić serca nieszczęśliwe,
Zrzucić z nich bólów, cierpień brzemie —
Tęsknota.

I jak na strunach barwnej tęczy
Śle na świat cały dziwne tchnienie,
Jak siatkę z nici śle pajęczej,
Którą omotać chce cierpienie —
Tęsknota.

Drży woda, ciche szumią tonie,
Drżą kwiaty, zioła drżą nadbrzeżne —
Ponad nie w złotej gwiazd koronie
Płynie widziadło białe, śnieżne —
Tęsknota.

Mroczną jeziora senną ciszą,
Mącąc strudzone płaczem fale,
Odziana białą suknią mniszą,
Przychodzi siać mi w duszę żale —
Tęsknota.

PO KSIĘŻYCOWEJ PRZĘDZY
ZŁOTEJ...

Po księżycowej przędzy złotej,
Nad gór przepaście i wykroty,
W tajemny czar i smęt odziana
Przychodzi do mnie skądś, nieznaną —
Po księżycowej przędzy złotej.

Zbliża się do mnie biała, cicha,
Lśnią się jej włosów jasne sploty,
Z rozchylonego ust kielicha
Wionie przedziwny czar tęsknoty —
Po księżycowej przędzy złotej.

I bierze głowę mą w ramiona,
Owiana czarem swej tęsknoty,
I pierś przytula mą do łona,
Płynąc jak mara w snach wyśniona —
Po księżycowej przędzy złotej.

I słowa szepcze mi tajemne,
Niebiańskiej pełno w nich pieszczoty...
Przychodzi do mnie w nocie ciemne,
Widziadło rajske, ponadziemne —
Po księżycowej przędzy złotej.

X W NOC MIESIĘCZNĄ...

J. M. Przybylskim.

1.

W noc miesięczną, cichą, jasną,
W noc tajemnych drzeń i woni,
Gdy światełka w chatach gasną,
Wieś się cała do snu kłoni —

W noc miesięczną, cichą, jasną,
Gdy bór łyzy srebrzyste roni,
Gdy na polach ognie zgasną —
Po kwiecistej wonnej błoni

Płynie Chrystus ponad chaty,
Ponad chaty śpiące w sadzie,
Jak w zaklętej kolumnadzie;

A na drogi Jego śladzie,
Gdzie przewiały Jego szaty,
Wyrastają białe kwiaty...

11.

Ponad wioską płynie zwolna,
Ziemia do stóp Mu się ścięła,
Pokłon bije grusza polna,
Każda trawka, każde ziele.

Ponad wioską płynie zwolna,
Lśni, jak skrzydła lśni aniele,
Biały, jako lilia polna,
Cichy, biedny, jak w kościele.

Suknie Jego wiatr kołysze
I otula w srebrną przędzę,
Jak w drobniuchne chmurek stada.

Sen głęboki na wieś spada...
Chrystus na wieś rzucił ciszę,
Zdjął z chat ból i odjął nędzę...

X ZACHÓD SŁOŃCA.

Płomieniste rubinów morze i opali
Goreje na zachodzie jak jezioro z bajki,
Po którym jak jedwabne, chyżolotne czajki
Szybują białe chmurki i giną gdzieś w dali.

Niebo w blaskach goreje i skry śle promienne,
Złocące cały przestwór ogniami zachodu.
Jakby do tajemnego Wieczności ogrodu
Słońce skłania swą głowę i opada senne.

Jak konający walczy z utajoną mocą,
Chce ją blaski przerazić, osłepić przepychem,
Iskrzące się wśród chmurek światełka migocą,

Na niebie gorejącem, krwawiącym a cichem.
Chmura z chmurą się ściera i jak łabędź wełni...
— Słońce w przestwór zapadło w blasków swoich peł

SKRZYPCE.

K. Bobkowi.

Jakaś melodia słodka, czarująca
Płynie skądś ku mnie poprzez nocy cienie.
I słyszę struny żałościwe drzenie,
Słyszę jak płacze gdzieś dusza tęskniąca.

W złotej poświatli sennego miesiąca
Płyną te dźwięki, wiatr je do mnie żenie.
Słyszę płacz jakiś, jak dziecka kwilenie,
Melodya bolem serce moje trąca.

Ktoś gra na skrzypcach. Pełną smutku falą
Pieśń płynie w mrokiem zasnute przestrzenie,
A skrzypce płaczą, skarżą się i żalą,

Jakgdyby chciały wyśpiewać cierpienie.
Płaczą jak dusza chora i cierpiąca,
A płacz ich płynie z poświatłą miesiąca,...

X WAWEL W NOCY.

Usnął zamek królewski na Wawelu stokach.
Księżyc rzuca nań z góry bladeżłote plamy
I obleka go wstęgą promienistej lamy,
Że zda się być pałacem czarodziejskim w mrokach.

Okna toną w poświatli złocistej potokach
I błyszczą, jak tajemnych bóstw kryształne chramy.
Blask się ślizga przez murów poszczerbione złamy
I ginie w tajemniczej ciemności obłokach.

Nad wieżami, co w górę czoło wzniosły dumne,
Zwolna krąg się rozświetla, rośnie, olbrzymieje
I widzę w blasku złotym czarną, straszną trumnę,

Która w sobie niewolnych zamyka nadzieje.
Ponad nią kajdan wieniec żelaznych widnieje...
— Księżyc zaszedł, bo chmury zakryły go tłumne...

SPIĄCE JEZIORO.

A. Schröderowi.

Na śpiącego jeziora stalowym kryształe
Wonie kwiatów nadbrzeżnych z wiatrem się kołyszają
I płyną z nim w nieznane, tajemnicze dale,
Gdzie w nieboskłonie gwiazdy migocące wiszą.

Senne, strudzone szumem, modre jego fale,
Kołysane bezbrzeżną, bezgraniczną ciszą,
Nużą niebu wieczorne, pożegnalne żale
I zmęczone swą skargą jak heloty dyszą.

Ponad nie w złotym blasku lśniącego miesiąca
Płynie dusza ma smutna i nici pajęczce
Swych marzeń nieuchwytnych niżej z bólu drżąca

I płynie z wiatrem smętna, żałosna, tęskniąca,
Bo się mgłą zasłoniły jej płomienne tęczce
I marzeń złotych nici rwą się jej pajęczce...

LETNIE NOCE.

M. Lachowiczowi.

Lubię ciche letnie noce,
Osłonięte w mroku kir.
 Czasem gwiazdka zamigoce,
 Ptak skrzydłami załopoce —
Lubię ciche, letnie noce
Osłonięte w mroku kir.

Drzewa smętną nucą pieśnię,
Rzeczny im wtóruje wir.
 Stoję, słucham, jakby we śnie,
 Zda się, że noc całą prześnię —
Drzewa smętną nucą pieśnię,
Rzeczny im wtóruje wir.

Ponad lasy, ponad knieje
Płynie czarny nocy duch.
 Z wiatrem się po łanach chwieje,
 Mrok i smęt po ziemi sieje —
Ponad lasy, ponad knieje
Płynie czarny nocy duch.

Śpi świat cały, umęczony,
Ustał już najłżejszy ruch,
Smętek płynie przez zagony,
Zboża biją mu pokłony —

Śpi świat cały, umęczony,
Ustał już najłżejszy ruch.

Ciemno, smutno... Gdzieś po polu
Płyną ciche dźwięki lir.

Dusza ma jak kwiat kąkolu
Drży samotna, pełna bolu...

Ciemno, smutno... Gdzieś po polu
Płyną ciche dźwięki lir.

Smutny stoję tak w pomroce

Oślonięty w smętku kir,

Dusza w bolu się szamoce...

Nawet gwiazdka nie migoce...

Smutny stoję tak w pomroce,

Oślonięty w smętku kir...

JESIENIĄ.

Hannie Gramatyczance.

Nad ugory i ścierniska
Dym się ściele siny,
Pastuszego blask ogniska
Świetlanemi skrami błyska,
Złoci żółtkę, zwiędłe rżyska
I szumiące trzciny.

Smęt po ziemi płynie całej,
Po kobiercu liści.
Płynie w szacie swojej białej,
Pełen bólu, syty chwały,
Mocą swoją zolbrzymiały
Wśród drzew suchych kiści.

Zadumane śpią ugory
Wiatr im do snu śpiewa.
Dziwne słyszą rozhowory,
Gdy wieczorem gwarzą bory
I jesiennej widmo zmory
Wszędzie się rozlewa.

Pusto wszędzie... Łąk zielenie
Dymią oparami.

Jak żałosne, ciche tchnienie
Wiatr swą pieśń po ziemi żenie,
Jakby kość chciał westchnienie
Srebrnej rosy łzami.

Na ugorach śpi martwota,
Smęt siadł ponad ziemią.

Zwiędłe liście wichur miota,
W łozach cicho łka tęsknota;
Przed chatami koło płota
Stare wierzby drzemią.

Wszędzie duma się rozsiada
Drzewa liściem prószą.

Jakaś dziwna mara blada
Z cicha w serce mi się wkrada
I tajemne słowa gada
Z moją biedną duszą.

Wiatr zawiewa. W mojej duszy
Dziwne słycać łkanie.
I zda mi się, że z mej duszy
Niby siny dym pastuszy
Płynię, kłębi się i puszy
Ta дума po łanie...

O ZMROKU.

Przyjaciółce Józefie.

Niebo rozdarte w pasy
Goreje krwią.

Mrok spada już na lasy
Zielonej pełne krasy

Ze szarą mgłą.

Księżyc wypłynął w łodzi

Na niebios skłon.

Wśród gwiazd poważnie chodzi

Jak ojciec wpośród młodzi —

Gdzieś zabrzmiał dzwon.

Na »Anioł pański« dzwonią...

Dźwięk płynie w dal...

Na łąkach tchnących wonią,

Łzy ciche dzwony ronią

I ból i żal.

Mrok zapadł już na chaty
Na zwiędły sad.
Pola podarte w szmaty
Osłania mrok w swe szaty.
I księżyc zbladł.

Maleńką światła strugą
Na zieleń łąk,
Złocistą pada smugą
I płynie wstęgą długą
Bołu i mąk.

I nicią smęt pajęczą
Owłada mnie.
Jeszcze komary brzęczą,
Lasy żałośnie jęczą
Modlitwy swe.

Zda mi się, że swe bole
 Wypłakać chcą.
Dusza mi płynie w pole
Nad ciemne płynie role
 Z tęsknoty łąą.

I w mojej duszy smutno,
 Smęt płynie w krok...
I płynę w dal okrutną
I tak mi smutno, smutno...
 — Zapada mrok.

X MRÓZ.

Jadwidze Mrozowskiej.

Na szybach mróz wyrzeźbił kwiaty bladolice
I rozsypał w misternie wiązonym bukicie
Tajemnicze, przezyste, kryształowe kwiecie,
Jak na mistycznej łące w pełnem blasków lecie,
Kiedy po polach zgubne błądzą Południce.

Białe lilje w przedziwnej czystości dziewiczej,
Srebrne róże, splątane w precudowne skręty,
Zda się, ogród przedziwny przez Boga zaklęty,
Gdzie kwiat każdy z kryształów i pereł wyrżnięty,
Na szklane tafle moczcz rzucił tajemniczy.

Jak czarowne marzenia w złote zdobne tęczę,
Opromienione blaskiem różowej nadziei,
Jak kwiat paproci — szczęścia w niedostępnej kniei,
Jak białe nenufary na wodnej rozchwiei
Lśnią te kwiaty jak złote marzenia młodzieńcze.



I znów jak na groźnego mocarza zakłęcie
Błysło słońce. Na kwiaty ciepłe blaski padły
Niby potwór krwiożerczy, dziki i zajadły,
I wraz kształty i liście i korony zbladły
I znikły, jako znika mrok na firmamencie.

Blask się słońca na szybach raz wraz rozprzestrzenia
I niszczy kwiatów srebrne, kryształowe sploty,
Słońce rzuca na szyby wciąż zabójcze grotty,
Kwiaty wędną, topnieją w świetli białozłotej...
Tak Życie niszczy nasze młodzieńcze marzenia...

W ZIMOWY WIECZÓR.

M. Wodakównej.

Kiedy na polu śnieg kryształny prószy,
Siadam przy oknie wieczorem i marzę.
I widzę jakieś tajemnicze twarze,
Które wzrok topią w głębinach mej duszy.

I widzę ręce jakieś bolejące,
Jak ją w lodowe chwytają uściski
I widzę oczu ich płomienne błyski,
Jakgdyby jasne gorzało w nich słońce.

I zdaje mi się, że swe białe dłonie
Mary te dziwne kładą mi na skronie
I jakiś smutek zasiewają w łonie.

Wokoło cisza. Pomroczyć się rozszerza
I płynie wolno nad śnieżyste błonie.
Słucham... Tak cicho... Śnieg w szyby uderza...

CISZA.

F. Ksaw. Gabryelowi.

Świat jest cały osłonięty
Dziwną ciszą...
Nawet drzewa już nie dyszą,
Nawet wodne śpią odmęty.

Wiatr się gdzieś zaczął w górach,
W lasach czeka;
Jakby senna płynie rzeka,
Senny płynie księżyc w chmurach.

Cisza świat objęła cały
W swe ramiona,
Cisza płynie z ziemi łona,
Cisza sunie ponad skały.

Cisza cały świat całuje,
Skrzydła zwiesza...
Ach! kiedy też taka cisza
W mojej duszy zapanuje?!...

MODLITWA.

O jedną chwilę błagam Cię, o Panie,
O jedną Szczęścia chwilę!
Oto upadam już w bezsile,
W mroków się staczam otchłanie,
W błocie się tarzam i pyle,
Duszę rozpaczą ranię —
Zlituj się panie!

Jam tak samotny prawie od kołyski,
Samotny żyję w tęsknocie,
Nie znam, co Szczęścia uśmiechy i błyski,
Znam tylko bólu, tęsknoty uściski
I łzy w rozpacznej wylane zgryzocie —
Zlituj się Panie!

Ześlij mi jedną duszę wielką, świętą,
Duszę, jak zorzę ranka rozjaśnioną,
Bym smutek rzucić mógł na święte łono,
Bym uspokoić mógł duszę ztęsknioną,
Srogiego losu dłonią przyciśniętą,
Nie daj bym w Życie szedł z duszą pękniętą —
Zlituj się Panie!

Daj mi Miłości prawdziwej rozkosze,
Miłości skrzydły otocz mię jasnymi,
A gdy to zrobisz, Boże, to Cię proszę,
Daj mi śmierć zaraz, niech odpocznę w ziemi!—

CHRYSTUS.

Adamowi M.

Przeszedł przez życie jak jasna kometa,
Co warkocz ogni poza sobą ściele.
Unieśmiertelnił się we własnym dziele
I życia jego skończyła się meta.

Choć Bóg, jak nędzarz na płaczu padole
Przebywał, nowe siejąc światło wiary,
Do źródła prawdy świat podnosząc stary,
Kojąc cierpienia, gorycz i niedolę.

Kochał i cierpiał. Miłości płomieniem
Świat chciał ogarnąć, przycisnąć do łona,
Lecz świat nań rzucił szyderstwa kamieniem

Ludzkość krwią jego jak Kain zboczona
W nowe popadła bole i podłości,
Bo nie uznała w swym Bogu — Boskości.

NADZIEJA.

W ponurej zwątpień i bólu godzinie,
Gdy mrok się w duszy czarną chmurą szerzy,
Gdy wzrok w rozpacznej nurza się bezbrzeży,
A gorycz wokół winie się i winie,

W mrokiem zwątpienia zasnutej krainie,
U złotych marzeń grobowych ościerzy
Na czarnej Życia i Śmierci rozbieży
Zjawia się biała Nadzieja i płynie...

Jak błędny ogień moczarny migota
W mrokach się wstęgą świetlaną przewinie
I znów w oparach czarnych zwątpień ginie,

To nagle z ciemni jasne blaski miota,
Że w duszy słabej jako nieć pajęcza
Jakaś przedziwna jasność się rozłącza...

PROŚBA.

O! spłyń mi w serce
Wraz z mgły sinemi,
Co traw kobierce
Rękoma swemi
Tula...

Spłyń z rosą ranną,
Która na kwiecie
Powłoką szklaną
Owija w lecie
Liście...

Spłyń w wieczór cichy,
Gdy noc nadchodzi,
Kwiatów kielichy
Zimny wiatr chłodzi
W zmierzchu...

O! Spłyń po tęczy,
Która o zmroku
Na skał przełęczy
Tonie w potoku —
Ciszo!...

TRISTIA

NIESZPORY.

Ks. J. Kiełarowi.

Sine mgły nad lasu głębią
Płyną ponad drzew korony,
Jak kadzideł dym się kłębią,
W mokre bór chwytają szpony.

Słucham... W borze szumią jodły,
Jak organy gdzieś w kościele;
Wieczorowe szumią modły
Bór i mroczne w nim topiele.

Poszum jodeł w dal się niesie,
Kędy księżyc siadł na tronie,
Coraz wyżej, wyżej pnie się
Na gwiazdziste niebios błonie.

Płynie w niebo hymn pokory,
Poszum jodeł z leśnej głuszy —
Kiedyż takie się nieszpory
Ozwą w biednej mojej duszy?...

WAMPIR.

Na grzędę zdobną
 W czarowne kwiaty
Przyleciał z pola
 Motyl skrzydlaty.

Usiadł na białej
 Lilii kwiecie
I w czysty kielich
 Zapuszcza siecie.

Ssie z niego życie
 Nienasycony,
Jakby je wyssać
 Chciał z tej korony,

Jakby ją widzieć
 Chciał zwiędłą, bladą,
Darmo złożoną
 Blasków kaskadą.

Tak w moją duszę
 W zaraniu życia
Wpadł robak czarny
 Z mroków ukrycia.

Wyssał z niej wszystkie
 Żywozne soki
I zatrzał serce
 Jadem posoki.

Zniszczył, co było
 W niej wielkie, święte,
Niepokalane,
 Co z Boga wzięte.

Wyssał mi Wiarę
 I jad goryczy
Wpoił w mą duszę
 Miasto słodczy.

Wyssał mi Wiarę,
Co w duszy tliła,
A z nią mi znikła
Do życia siła.

Więc bez nadziei
I już bez Wiary
W młodości piję
Jad z Życia czary.

I idę smutny
Nie bacząc na nic
Do tajemniczych
Cmentarnych granic...

BEZ STERU.

Rozpasały się wichry spuszczone z łańcucha.
Morze ryczy, a piana przewala się ślizka
I jak haft nieuchwytny na falach połyska,
Zda się, że gdzieś z dna morza wściekły ogień bucha.

Na karkach wód spienionych, mała, słaba, krucha
Łódź jak łupina płynie a wokół igliska
Ostrych raf; wicher ją na nie rozszalały ciska
Morze hymn śpiewa ku czci piekielnego ducha.

Łódź bez steru, wśród burzy złamały się maszty.
Jeszcze chwila, a morska schłonie ją poczwara,
Pochłona ją bałwany, stojące jak baszty.

I łódka mego Życia na bezbrzeżnej toni
Jak ta łódź się kołyszcie i ku Śmierci kłoni,
Bo w burzach Życia zginął ster mej łodzi — Wiara.

FONTANNA.

Wśród klombu kwiatów
 Błyszczą fontanna,
Jak rajskich światów
 Bogini szklanna.

Rozperła wodę
 W kropel tysiące,
A te kropelki
 Całuje słońce.

Ogniste tęcze
 Na nich maluje,
Świetlne obręcze
 Złotem haftuje.

I barw miliony
 Sypie w kropelki
I blask w nich sieje,
 Czar sieje wielki.

Lecz mnie nie cieszy
Pereł kaskada,
Co w blaskach słońca
Na kwiaty spada.

Bo te czarowne
Perły tęczowe
Nie spadną ciszą
Na moją głowę.

Bo te kropliste
Perły świecące
Spadają żarem
W serce cierpiące.

Bo one smutku
Wziąć mi nie mogą,
Bo ja wciąż idę
Ciernistą drogą.

Bo w mojej smutnej
Duszy się mieści
Wiecznie gryzący
Robak boleści.

Jam w życiu nie miał
I jednej duszy,
Coby mi serce
Wyrwała z głuszy.

Jam nie znał, co to
Człowiek kochany,
Więc idę smutny
I zapłakany...

UŚMIECH KOBIETY.

Jak kwiat, gdy z pączka się wychyli
I zacznie żyć,
Jak barwna tęczy nić,
Jak modrych rój motyli,
Jak pierwszy blasków słońca pęk,
Gdy z nieba spada,
Jak srebrna fontanny kaskada,
Jak wiosny wdzięk,
Jak cisza o wieczorze
W letni dzień,
Jak poszum fal w jeziorze
Wśród kwiatów drzeń —
Jest uśmiech kochanej kobiety.
Ja go nie znałem — niestety!...

SZCZYTNA CHWILA.

Jedną chwilę w życiu miałem
Wielką i szczytną.
W krainę marzeń błękitną
Wszedłem duszą i ciałem.
Kiedy raz pierwszy — kochałem.

Miłość mi była jak grom burzy,
Jak błyskawica,
Jak huk, co piorunowi wtórzy,
Jak gwiazda, co się w mrokach nurzy
Srebrzystolica.

Miłość mi była jak na skale
Morska strażnica,
I w życie szedłem z nią zuchwale.
Lecz kiedy cierpień przyszły fale
Została tylko — tęsknica.

A zresztą moje życie
To pasmo mąk i złud,
Próżny Danaid trud,
Miłości wieczny głód,
Zwarzony kwiat — w rozkwicie.

MOJA DUSZA.

Jestem jak drzewo samotnie stojące
Wśród pustych, szarych pól.
W duszy mam jakieś morze wrące,
Nieukojonny ból.
I patrzę na to życie,
Co wokół się przewala
Smutny, bo cierpień fala
Przeżarła moją duszę.
Żyję, bo — muszę.
Na życia mego zchmurzonym błękanie
Ni jedna gwiazda nie płonie...
Cierniem owite me skronie...
Bo moja dusza jest jak ul,
Gdzie wiecznie brzęczą bolu pszczoły,
Bo w mojej duszy zasiadł ból,
Wyssany z mych rodzinnych pól,
I życia znoje i płacze
I życia krwawe mozoły...
Ból w mojej duszy kracze,
Ból wyssany z ziemi łona;
Dusza ma bolem opleciona,
Więc idę smutny i — płacę...

ZMIERZCH.

Sinawe mgły
Owiały ciemny bór.
Ostatnie skry
Słońce nań śle z za gór.

Sinawe mgły
Gór otuliły wierzch.
Zagasły skry...
Na ziemię schodzi Zmierzch.

Tęczowe sny
Straciłem wpośród burz
I w nocne mgły
Staczam się słaby już...



LIBRARY OF THE
UNIVERSITY OF TORONTO

1827
1828
1829

1830
1831
1832

1833
1834
1835

1836
1837
1838

1839
1840
1841

1842
1843
1844

1845
1846
1847

1848
1849
1850

1851
1852
1853

1854
1855
1856

ROZBITEK.

WYŚNIONEJ...

1.

Biegłem do Ciebie, jak samotna mewa
Na wód spienionej zbłąkana bezbrzeży
Biegnie do rafy, co się szczytem jeży
Nad wód odmętem, który ją oblewa.

Biegłem do Ciebie, jak sierota-dziewa,
Która z niewoli wypuszczona bieży,
Aby przy ojcach umrzeć na rubieży
Domu, gdzie przeszła wojenna zalewa.

Biegłem do Ciebie, jak Arab spragniony
Wśród żaru słońca biegnie do krynicy,
Aby mógł dalej bładzić orzeźwiony.

Biegłem do Ciebie, by ulżyć tęsknicy,
Która mnie swemi oplotła ramiony,
Bom w Tobie szukał zbawienia kotwicy.

II.

Biegłem do Ciebie, jak w święte podwoje
Kościółta bieży lud, ażeby w skrusze,
Znękaną bolem, słabą skrzepić duszę
I nowych nabrać sił na Życia znoje.

Biegłem do Ciebie, aby znaleźć zbroję,
Zdolną mą słabą zahartować duszę,
Ażebym w bólu, w cierpień zawierusze
Śmiało mógł krwawe z Życiem staczać boje.

Biegłem do Ciebie, jak wśród nawałnicy
Okręt miotany po morskiej otchłani
Z rozpaczą bieży do cichej przystani,

Gdzieby bezpiecznie stanął na kotwicy.
Jako do szczęścia tajemnej skarbnicy
Biegłem do Ciebie Ty — mych marzeń pani!

111.

Jak liść uwiędły, którym wicher miota
Wśród burz płynąłem, wichrów i błyskawic
Do krain Szczęścia ukrytych wśród mgławic,
Bo mnie przemożna wiodła tam tęsknota.

Ja od kołyski prawie jak sierota
Samotny szedłem wśród bólu i łzawic
Szukając światła wśród wilgnych trzęsawic,
I ideałów w Życiu pośród błota.

Znalazłem Ciebie jak cichą ostoję,
Gdziebym sił nabrać mógł do dalszych bojów,
Rzuciłem przed Cię całe serce moje.

Biegłem do Ciebie, jak do czystych zdrojów,
Gdziebym mógł Się pić wśród życia znojów.
Śniłem, że Szczęście będziem pić we dwoje...

IV.

Tyś przychodziła do mnie w noc jesienną,
Gdy zwiędłe z drzewa opadały liście,
Tyś przychodziła we wichrów poświście,
Natchnieniem duszę rozpałałaś senną.

Wiodłaś mnie w jakąś krainę promienną,
W marzeń mych srebrne zdobioną okiście,
Do której smutny wzdychałem wieczyście,
Przeżarty bojem i walką codzienną.

Płynąłem z Tobą pod sine obłoki,
Nie znając co to Zwątpienia wędzidła,
Na zradne Życia nie zważając sidła,

Choć wokół bolu płynęły potoki.
Tyś mnie od ziemskiej odbiła powłoki,
Pieśń mą zrodziłaś i — złamałaś skrzydła.

V.

I teraz płynę łasce losu zdany
Bez wiary w Szczęście, bez Nadziei błysku,
Jestem jak kwiat ów, kwitnący na rżysku
Świątokradzkiemi zgnieciony kolany.

Żyję, a wiecznie wzdycham do Nirwany
Do cichej Śmierci wciąż wzdycham uścisku;
Jak ogień błędny na mokrem bagnisku,
Błąkam się w mrokach cierpieniem złamany.

Jestem jak marnie porzucony zwitek,
Jak ptak bez skrzydeł, który spadł z wyżyny
I już nie może lecieć do krainy,

Gdzie ma swe gniazdo wśród cichej śliwiny.
Po morzu Życia pełnem tajnych skrytek
Jak beznadziejny płynę w dal — rozbitek...

WŚRÓD KWIATÓW
FRAGMENT SCENICZNY

PRAWO WYSTAWIANIA ZASTRZEŻONE



OSOBY:

OJCIEC

MATKA

HELA, SIEDMIOLETNIA CHORA DZIEWCZYNKA

DEKORACYA:

Pokój jasny, słoneczny. Meble w stylu zakopiańskim. Kosze z kwiatami. — Przy oknie łóżko. Hela śpi. Koło niej matka siedzi zadumana. — Popołudnie. Słońce czerwonymi promieniami zalewa cały pokój.

(Wchodzi Ojciec, całuje Matkę w rękę)

OJCIEC:

„Dobry wieczór! Jakże mała?”

MATKA:

Popołudniu trochę spała —

OJCIEC:

Był dziś lekarz?

MATKA:

Był przed chwilą.

OJCIEC:

Cóż powiedział ci o Heli?

MATKA:

Jeśli go nadzieje nie mylą,
wyzdrowieje do niedzieli.

OJCIEC:

A dawno Hela usnęła?

MATKA:

Przed chwileczką. Po zbadaniu
lekarz jeszcze został chwilę,
a ją chęć do spania wzięła.
Lekarz mówił, że po spaniu
wstanie zdrowsza.

OJCIEC:

Bogu dzięki!
(smutny) Heluś, Heluś, biedne dziecię!
Takie już przechodzisz męki!
Jeszcześ nie zaznała życia,
a już cię choroba gniecie.

MATKA:

Zaledwo wyszła z powicia,
jak kwiatek z listków ukrycia,
już na samym życia progu
los ją swą dosięgnął dłońią.
(z westchnieniem) Tak się podobało Bogu!

OJCIEC:

Lecz łzy nasze ją osłonią,
że nie umrze. Bóg łaskawy
zostawi nam tę pociechę
i straszliwej śmierci szata
nie zawita pod nią strzechę.

MATKA:

Po śmierci starszego brata
Bóg zostawił na pociechę
to maleństwo, mężu drogi;
ona życie nam słodziła,
jak zaczęła stawiać nogi,
jak koło łóżka chodziła...
Myśmy się nią tak cieszyli!

OJCIEC:

Bóg to wie, co jej się stało!
Takie to drobnieńkie ciało,
takie nikłe, jako trzcina,
jak bławatu kwiat na łanie
była nasza ta dziecina,
ukochana — och! jedyna.

MATKA:

Jak bławatu kwiat na łanie...
W życia troskach, w bólu, w męce
brałam dziecię to na ręce.
Ona pieściwemi słowy
ludzkiej się uczyła mowy.
Jej pierwsze słowo do świata —
pamiętasz? to było —

OJCIEC:

Tata...

Tata, mama, tata, mama
wymawiało małe ptaszę,
to dziecię kochane nasze.

MATKA:

Dziwiłam się wówczas sama,
że na ciebie wpierw wołała
ta kochana nasza mała.

OJCIEC:

Kochaneńka ta, pieszczota,
ta dziecina nasza złota.

MATKA:

Kiedy brałam ją w ramiona
i tuliłam do swej piersi,
ona cała rozbawiona
gładziła me włosy dłonią,
całowała mnie, pieściła
drobniutkiemi paluszkami
i maleńką swoją dłonią
po mej twarzy wciąż wodziła,
gdym ją do piersi tuliła.

OJCIEC:

Pamiętasz? Z memi wąsami
prawdziwe miała igrzysko.

Ciągnęła je paluszkami,
a gdy mówić już umiała
mówiła: Brzydkie wąsisko!
Jak ja ją wtedy kochałem!

MATKA:

Tem dziecięciem naszym małym
myśmy wszyscy się cieszyli,
myśmy ją wszyscy lubili!

OJCIEC:

Ona Twym była obrazem.
I jak słońce od wód toni
odbija się i skryształa
i widać dwa słońca razem:
jedno w sobie więzi fala,
drugie płynie po nieb błoni
i jedno drugie zwycięża,
pięknością blasków, kryształem,
ona twem odbiciem całym
była — matki, druga matka.

MATKA:

O! ona była piękniejsza,
rosła jak kwiecie w ogrodzie,
jako lilijka na wodzie,
od lilii nawet jaśniejsza.

OJCIEC:

Gdyś ją uczyła pacierza,
kładłaś jej rękę na czole,
na pierś kładłaś i ramiona,
gdyś ją uczyła pacierza.
A ona z czystego łona
szepotała słowa pacierza
jako anioł rozmodlona,
co chce swe wypłakać bole.
Pierś się wspomnieniem rozszerza
świętego pamięcią przymierza
z Bogiem, słowami pacierza...
Kładłaś jej rękę na czole... —

MATKA:

O, byłato chwila święta,
gdym ją uczyła pacierza.
Matka chwilę tę pamięta,
gdy dziecinie ręce składa
i z Bogiem ze samym gada;
święcie modlą się dziecięta.
Najszczęśliwsza chwila matki,
kiedy małe uczy dziatki
modłów bożych, słów pacierza!

OJCIEC:

Śpi maleństwo! Zróżowiona...

O, blask na nią z okna pada,

łuna zachodu czerwona

twarz jej tęczą opromienia...

Cyt! Nie budźmy jej z uspienia.

*(Siedzą chwilę w milczeniu, patrząc na dziecię,
nad którego głową igrają różowe płomyki zachodzącego słońca.)*

OJCIEC:

Usta jej się poruszają,

dziecina coś na śnie gada —

MATKA:

Aniołów koło niej gromada

kwiaty jej rajskie podają,

ona we śnie z nimi gada.

OJCIEC:

Cyt!

DZIECKO *(mówi na śnie)*:

Dziś — Tatuś — przyniósł — kwiaty...

MATKA:

O kwiatach mówi, co mają

łąk zielenie wonią tchnące,

o kwiatach, co kwitną na łące

upstrzone rojem motyli

i w barw się mienią tysiące,
a słońce barwy ich pyli;
ona bardzo lubi kwiaty.

OJCIEC:

Przyniosłem jej pęk, bławaty
z rozczochraną ich koroną,
modre przyniosłem bławaty.
Ustroim ją całą w kwiaty
ustroim sukienki, szaty,
wszak ona tak lubi kwiaty.

MATKA:

Nie mów tak! Łzy mi się cisną...
Ty ją stroić chcesz w bławaty,
jak do trumny! (płacze) Wielki Boże,
wraz marzenia nasze prysną
i gdy ona umrze — Boże! —
i ja się do grobu złożę.
Nie mów tak!

OJCIEC:

Żono moja,
pocóż takie przypuszczenia?
Pryśłyby nasze marzenia,
pozostałby ból, cierpienia,
wielka klątwa, złorzeczenia.

Pilibyśmy z cierpień zdroja.
Ona umrzeć nam nie może,
ten kwiatuśzek najmilejszy.
Bóg by nam wziął naszą zorzę,
Bóg nasze bole umniejszy
i powróci Heli zdrowie.

MATKA:

Drogi mężu, kto wie, kto wie?
Wszak już straciliśmy syna,
Bóg nam zabrał go w poranku
jego życia, jak kwiat w wianku.

OJCIEC:

To też ta nasza dziecina
jest dla nas zorzą poranku
i Bóg jej nam nie zabierze.

MATKA:

Tak się boję, mówię szczerze,
ledwie sama sobie wierzę;
jakaś czuję w duszy trwogę,
zdusić trwogi tej nie mogę —

OJCIEC:

Uspokój się! Patrz na Helę
jak niebiańsko się uśmiecha,
popatrz na nią mój aniele;

niebiańskiej rozkoszy echa
malują się na jej twarzy.
Blask wieczornych zórz się żarzy
na niebieskim tym błękicie.
Może wróci Heli życie.
Może wróci Heli zdrowie..

MATKA:

Jak się zbudzi, to nam powie,
o czem śniła. Cyt!

OJCIEC:

Rusza się,
jak kwiat słaby w barw swych krasie;
może się w tej chwili zbudzi...
Jak się to biedactwo trudzi...

DZIECKO (*porusza się, otwiera oczy, słabo*):
Mamusi! A gdzie jest tata?

MATKA:

Tu przy tobie jest dziecino!

OJCIEC:

Przychodzisz z marzenia świata
i nie widzisz gdzie jest tata (*całuje ją*).

DZIECKO:

A mnie się śniły anioły,
jakem gdzieś po rajskiej łące

chodziła z nimi na kwiaty,
takie piękne, takie lśniące.
Ale tam nie było mamy,
ani tam nie było taty
i smutno mi było samej
i nie patrzyłam na kwiaty...

OJCIEC:

Dostaniesz odemnie kwiaty. (*Daje jej pęk
bławatów*).

DZIECKO:

Tatusz przyniósł mi bławaty.
Śliczny ten bukiet od taty,
taki piękny, taki miły!
Gdzie tatusz zbierał te kwiaty?
Czy wśród zbóż na zielnym łanie?

(Dziecko bawi się bławatami, ale coraz bardziej słabnie,
kwiaty jej wypadają jeden po drugim i tworzą naokoło
głowy niebieską gloriolę).

OJCIEC:

Tak dziecino! Wśród zboża.
I ty wyjdiesz wnet na pole,
gdy opuścisz to posłanie
i będziesz wesoła, hoża.
Przestaną cię dręczyć bole,
to wyjdziemy razem w pole.

DZIECKO:

Wyjdziem w pole na bławaty,
wystroję się cała w kwiaty
i w zielonej tej koronie
pójdę z wami hen na góry.
Tam ptaszków śpiewają chóry
i świat cały w blasku tonie.
Będziem siedzieć gdzie na łące,
pod kopią wonną siana.
Świerszczy się ozwą tysiące
i będą ćwierkać na łące.
A ja zdrowa i rumiana
śpiewać będę też: oj dana!

(Ojciec i matka płaczą).

DZIECKO:

A czemu mamusia płacze?
Będę zawsze bardzo grzeczna.

OJCIEC:

To ze szczęścia moje dziecię...
I ze szczęścia człowiek płacze.

DZIECKO:

A mnie dobrze tak na świecie,
kiedy na was razem patrzę
kochani rodzice moi.

Czy się tatuś o mnie boi?
Mnie się śnili aniołowie
ze skrzydłami świecącemi
i ja byłam między nimi,
wianuszek miałam na głowie...

MATKA:

A ładnie tam było w niebie?

DZIECKO:

Matusiu! Tak jasno wszędzie
i kwiaty rosną na grzędzie,
a kto chce, zbierać je może.
Korony mają jak zorze.
I chętniebym tam została,
tylko tam nie było ciebie
mamusiu, ani tatusia.

OJCIEC:

Moja ty kochana mała!

DZIECKO (*słabo*):

Tak mi słabo, głowa boli...
(*w gorączce*) Lecę, lecę gdzieś w niebiosa,
po gwiazdzistej lecę roli,
perłami się błyszczą rosa...
Aniołki wyszły przedemnie...

(szepciem) Podemną ciemnie i ciemnie...
(głośno) Gdzie tatuś? Tatusiu! Mamo!

OJCIEC:

Uspokój się, dziecię! My tu.
Do jakiego lecisz świtu
pośród światełek błękitu?
Tyś nie samo tu, nie samo!

(Matka płacząc całuje ją)

DZIECKO;

Co mi ty dajesz? koronę?
Taka śliczna ta korona
bławatami ustrojona.
Złocistą dajesz koronę...
(słabo) Mamo! mamo! Mam skrzydełka
takie jasne, cudne, białe
z kwiatów uplecione całe.

MATKA:

Jezu! Jezu! Moje dziecię
znów w gorączce, gorączkuje.
Aniołów koło niej grono
już jej do snu przyśpiewuje.
Jaką twarz ma znów czerwoną...
Boże! zlituj się, o Boże!
Ty coś tam rozpałił zorze

i złociste chowasz słońce,
zostaw nam to dziecię, Boże!

DZIECKO:

Mamo! jakie tu są kwiaty?!...

OJCIEC:

Boże! Ojciec wszechmogący,
spójrz jakom dzisiaj cierpiący!
okaż łaski odrobinę,
zostaw mi moją dziecinę!

DZIECKO:

Mamo, mamo, chodź tu do mnie!
Tu tak wesoło ogromnie.
Wszędzie kwiaty, same kwiaty,
wokół mnie prześliczne kwiaty.
Mamo! Tato! Mamo, a ty
nie lecisz tu ze mną w dale?
(*stabo*) Wokół mnie słoneczne fale...

MATKA:

Ona w gorączce, o Boże!

OJCIEC:

Ona kona! Gorze! Gorze!

DZIECKO:

Jak tu ładnie! Same kwiaty.
Wokoło mnie same kwiaty.

(wypreża się, opada, ręce jej zwisają, zamyka oczy)

Mamo, tato! same kwiaty!...

(umiera)

MATKA:

Umarła! o Boże! Boże!

(śłania się, pada).

Kurtyna.

**Z CHWIL
GORYCZY I ZWĄTPIENIA**

CIERPIENIE.

Cierpienie!

Ty, co z wieczności łon
Wyrzucasz niby granaty
Nowe światy,
Co dajesz życie i zgon
Stworzeniu,
Ty, coś na niebios sklepieniu
Rozpięte w mrocznej szacie
Przeznaczenia,
Co w księżycowej spływasz poświacie
Wśród nocy cienia,
Ty, coś spowiło moją duszę
Bolu oparem,
Że własne serce kruszę,
Marzenia własne głuszę —
Tyś mojej pieśni sztandarem,
Tyś me natchnienie,
Więc kocham Cię —
Cierpienie!

GDZIEŚ JEST?...

Gdzieś jest, gdzieś jest, nieznany Boże,
Coś kazał nam
Przebywać w życiu cierpień morze?
Czy na niebiosach tam?
Czy kryjesz się na naszym świecie,
Bezsilny już,
Że ty nie widzisz jak nas gniecie
Życie wśród burz?
Czyś się bezsilny skrył w otchłanie,
Na niebios skłon?
Gdzieś jest, gdzieś jest Wszechmocny Panie?!
Nadszedł twój skon?
Wszak my cierpienia same mamy,
Wieczysty ból
I wciąż biegniemy w Twoje chramy,
Wszak Tyś nasz król!
A Tyś zapomniał o stworzeniu
Na świecie tym?
Czy skryłeś się na nieb sklepieniu
Jak chmurny dym?

Rozpacz nam duszę targa w strzepy,
Ukój nasz ból,
Co rośnie w duszy niby kępy
Cierni wśród pól.
Daj znak o sobie, że żyjesz jeszcze
I zadaj kłam,
Zwątpieniu, co w mordercze kleszcze
Schwycało duszę nam!

Ha, milczysz! Tyś nas rzucił Boże
Na bolu łup?!
Więc klątwę ciskam Ci w przestworze,
Boś Ty już — trup!

LUDZKA MOC.

Tomkowi.

Poczułem w sobie naraz wielką siłę.
Zdawało mi się, że skruszę kolumny,
Że ciała zmarłych wskrzesić zdołam z trumny
I nowe Życie tchnąć w ich kości zgniłe.

Zdawało mi się, że jest jak mocarze
Szczęśliwy moją mocą przepotężną
I chciałem w niebo podnieść dłoń orężną
I strącić Boga i zburzyć ołtarze.

I byłem pewny, że zdołam cierpienia
Z ziemi usunąć, że nędzę usunę,
Że ja przyspieszę dzień on wybawienia,
Że z cierpień ludzkich pozostawię łunę.

A wtem ujrzałem potwora — olbrzyma,
Co z paszczy sypał płomienną pożogę.
Patrzę, on ludzkość w ostrych szponach trzyma...
To Życie... Zbladłem, bo ja nic nie mogę...

DAREMNY TRUD.

Daremny trud! Napróżno w wiecznym boju
Chcemy ku niebu ludzkość wznieść
I walczym ciągle w krwawym znoju,
Bo cóż stanowi życia treść?

Bezsilne walki, szereg zbrodni,
Każdy wyciąga zbrojną pięść,
By mocą dłoni swej wyrodnej
Drugiemu wydrzeć jego część.

Wściekłość w każdego płonie oku,
Nienawiść błyska z popod rzęs,
By pośród nędzy, w Życia mroku
Drugiemu wydrzeć chleba kęs.

Bo ludzie są jak te szakale,
Co ostrzą sobie głodny ząb,
Aby zwycięstwo na swą szalę,
A drugich w nędzy rzucić głąb.

Więc pocóż walki i staranie,
Aby módz tylko z biedą żyć?
Nowe nie świta nam zaranie,
Wciąż będziem z czary cierpień pić.

Pędzimy życie zaślepieni,
Niepomni, że nas czeka grób
I że dopiero w jego cieni
Znajdziemy koniec naszych prób.

Pędzimy życie jak szaleńcy
Pełni zawiści, fałszu, złud.
Ludzie — przekłęci potępieńcy.
Chcieć ludzkość wznieść: Daremny trud!

Ludzkość się wiecznie będzie wiła
Wpóśród boleści, cierpień, mąk,
Dopóki jej nieznana siła
Nie poda swych śmiertelnych rąk.

Niech koniec przyjdzie! Lepiej wcześniej!
Niech zczęźnie raz człowieczy ród!
Ludzkość z swej nędzy już nie wskrzesnie.
Chcieć ludzkość podnieść: Próżny trud!

WŚRÓD GROBÓW.

Wśród cichych grobów, w cmentarnej ustroni
Usiadłem smutny. Dziwnych myśli fala
Ognistą wstęgą przez mózg mi przewala
Jak błyskawica po niebieskiej błoni.

Wokoło pusto. Cisza w uszach dzwoni,
Żaden głos życia nie dolata zdala,
Głos mąk i cierpień człowieka — Tantała.
Płacząca brzoza srebrzyste łązy roni.

Tu kości ciszą śmiertelną objęte
Nienaruszone leżą w grobach, święte,
Przez ludzi czczone, przezemnie — przeklęte!

Czemu nie wstaną, czemu nie powiedzą
Co się za straszną grobu kryje miedzą
I mgły rozpacznych zwątpień nie rozrzedzą?!...

ZARĘCZYNY.

W. Proszowskiemu.

Sala tonie w potoku światła. Tak rzęsiście
Oświetlają ją wielkie, złote kandelabry.
W świetle migocą niby rozmarzone chabry
Główki dziewic, spowite w myrtu blade liście.

Patrzę — w głębi, jak źródeł bogini tajemnych
Dziewoja skromne lica na pierś ojca kłoni —
Ktoś z pierścionkiem złocistym w ręku idzie do niej.
Jasny blask zamigotał w głębiach oczu ciemnych.

Zamienili pierścionki i stoją szaleni,
Oczarowani sobą; słyhać serc ich bicie,
Radość, smęt i tęsknota w oczach im się mieni,
Zdaje się, że ich złamać nie potrafi Życie.

Nie widzą, że jak szkielet z mrocznych grobu ci
Śmierć, szyderczo się śmiejąc, płynie po suficie...

ZŁUDZENIA.

W. Wyspiańskiemu.

Czem jest to Życie? Zagadką, złudzeniem
I żeglowaniem po nieznanem morzu,
Błędnym podróży na pustem rozdrożu,
Rozkoszą, klątwą, męką i cierpieniem.

Czem jest to Szczęście, do którego ludzie
Przez całe Życie zdążają na ziemi?
Illuzją tylko w Życia wielkim trudzie,
Igraniem tylko z marzeniami swemi.

Czemże jest Miłość, ta jedna, jedyna,
Co Życie nasze rozpromienić zdoła?
Marą, widziałem z skrzydłami anioła,
Z koroną z pereł świecącą u czoła,
Tak, że się przy niej bólów zapomina.

A Człowiek? Człowiek to błoto i glina...

SZCZĘŚLIWI.

Spokojni, okiem patrzą obojętnem
Na Życie, które głośną szumi falą,
Mirrę Rozkoszy na ołtarzu palą,
W Rozkoszy błocie zanurzeni wstrętnem.

Krew ich nie zadrza nigdy żywszem tętnem,
Co rani duszę niby ostrą stalą;
Idą weseli, nigdy się nie żalą...
Duch ich znaczonego Używania piętrem.

Żyją szczęśliwi, że żyją, że żywi,
Nie bacząc na to, że to Życie marne
Bolu jest pełne, cierpieniem ciężarne,
Że Szczęście w Życiu, to pozory marne.

Ich nędza drugich nie dręczy, nie dziwi,
Żyją, by użyć i żyją — Szczęśliwi!!!...

W PRZECZUCIU ŚMIERCI.

Czuję, że umrę, że kres niedaleki,
Czuję wokoło już ciszę grobową
I idę smutny z pochyloną głową,
Jako beduin wśród pustynnej spieki.

Może po śmierci odżyję na nowo,
Gdy przebrnę fale tajemniczej rzeki,
Co mieści w sobie na ból życia leki,
Co nam zasłania przyszłość zagrobową.

Kto wie? A może nawet po mym zgonie
Duchem żyć będę jeszcze całe wieki,
Aż on dzień Sądu nadejdzie daleki,

Aż się w cierniowej ukaże koronie
Chrystus i ostre Krzyża wskaże ćwieki...
A może... stopię się w Wieczności łonie...

ŁUDŹMY SIĘ.

Łudźmy się, łudźmy, wszak to nic nie szkodzi,
— Wszak całe Życie jest ogromną złudą —
My starzy duchem, chociaż ciałem młodzi,
Przeżarci życia bezgraniczną Nudą.

Młodzi — idziemy w świat z duszą złamaną,
Nam Wiary słońce na drodze nie świeci,
Do modłów nasze nie gnie się kolano.
Bóg, modły, Wiara zostały dla — dzieci.

Myśmy wyrosli z duszą potępieńczą,
Skażoną Życia okrutnymi razy,
Nam słowa Wiary już w uszach nie dźwięczą,
Złote Nadziei znikły nam obrazy.

Łudźmy się zatem, wszak to nic nie szkodzi,
Wszak Życie wreszcie czemś zapełnić trzeba!
Słowa pociechy nie usłyszym z nieba,
Śmiało więc pływamy na — zbutwiałej łodzi!...

MOJE PIEŚNI

MOJE PIEŚNI.

Smutne są moje pieśni,
 Jak łany zbóż,
Gdy ranek je ozłoci
 Blaskami zórz.

Ja wiecznie tylko płaczę,
 Jak krzewy róż,
Co płaczą otęczone
 Blaskami zórz.

Jam nie znał godów Życia,
 Weselnych kruz,
Jam nie znał w mej młodości
 Odblasków zórz,

Jam młodość całą spędził
 Wśród cierpień, burz,
Mnie nigdy nie pieściły
 Odblaski zórz.

Życie mi w duszę wbiło
Zabójczy nóż,
I zgasły mi odblaski
Porannych zórz.

Więc smutne moje pieśni
Jak łany zbóż,
Gdy ranek je ozłoci
Blaskami zórz.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-900 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42

F

2854